№ 17. Rok XXXIII.

TYGODNIK MÓD I POWIEŚCI.

PISMO ILLUSTROWANE DLA KOBIET.

PRENUMERATA WYNOSI:
W Warszawie
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1.
Za odnoszenie do domu kwartalnie kop. 10.
Na prowincyi
Kwartalnie. . . . . . . rs. 1 kop. 25.

Adres Redakcyi i Administracyi:
Chmielna Nr 26.

Warszawa, dnia 13 Kwietnia (25 Kwietnia) 1891 roku.

PRENUMERATA WYNOSI:
We Lwowie i Krakowie
Kwartalnie złr. 2. Na prowincyi złr. 2 cent. 30.
W Poznaniu
Kwartalnie marek 3. Na prowincyi marek 3 pf. 50.

Z TYGODNIA

Dzięki rozpoczęciu się pogody i jasnościom słonecznym, już teraz dosyć wytrwale ogarniającym stęsknioną do nich ziemię, możliwem się stało szybsze i regularniejsze krążenie tak zwanej... poczty pantoflowej. Nie śmiejcie się, łaskawe czytelniczki; taka poczta istnieje jeszcze w całej okazałości i to nietylko po miasteczkach i mieścinach, ale nawet w okazałej półmilionowej ludnością Warszawie.

Pod pewnemi względami wyprosiłbym tylko dla niej zmianę nazwy, zresztą bardzo drobną — zamiast *pantoflowa*, niech się zwie *pantofelkowa*. A to dlatego, że pantofel, brudny, przydeptany na błocie miasteczkowem, co jej nadał miano, należał ongi do pejsatych Aronów i Szmulów, którzy, biegając z dworu do dworu, z karczmy do karczmy, roznosili pochwytywane w drodze wiadomości, oczywiście w biegu potężniejące od kształtów wróbla do wołu. Dzisiaj jednakże poczta tego rodzaju zreformowała się, mianowicie w Warszawie, w której pejsy ustąpiły miejsca wykwintnym grzywkom, a pantofliska Aronków bardzo zgrabnym i ładniutkim pantofelkom wielu pań, co głosując zapalczywie na korzyść pracy kobiecej, same jeszcze nie robią nic i mają dosyć czasu, aby spełniać niezmordowanie funkcyą poczty.

Żeby być sprawiedliwym, muszę czemprędzej dodać, że owo *pocztowanie* nie jest wyłącznym przywilejem płci nadobnej. I brzydka uprawia je z zapałem i gorliwością, która gdyby okazywała się w innych celach i kierunkach, ziemię z posad poruszyćby mogła i królestwu niebieskiemu zapewnić na niej niezachwiane panowanie.

Bez względu na płeć poczmistrzów i roznosicieli wieści, to pocztowanie można nazwać krótko i zwięźle *plotkarstwem*. Plotkarstwo zaś jest to taka gadatliwość, która z celami się nie liczy, skutków nie przewiduje, jest rzeczą zamiłowania i próżniactwa, a gdy jej się uda sięgnąć tak głęboko w stosunki ludzkie lub społeczne, że to aż katastrofę sprowadza, wtedy ona wyłupia baranie oczy, rozdziawia niezmęczoną nigdy paplaniem gębę i rzuca pytanie: „Zkąd się to wzięło?" pytanie pozostające bez odpowiedzi. Ktożby bowiem przypuścił z tych, co to bezmyślnie plotki roznoszą, że taki potężny wół urósł z maleńkiego wróbla, ze słowa puszczonego na wiatr!

— Co słychać, moi państwo?...

Pan A. zapewniał mnie wczoraj, że w Warszawie przed dwoma tygodniami przebywał książę Bismark, szukający stronników pomiędzy dawnymi wygnańcami z Prus; pan B. szepnął mi na ucho, że pewna wielka pani rozwodzi się z mężem, aby zaślubić morganatycznie Milana; pan C. zaręczał, że przez koryto Wisły, wysuszone umyślnie, przechodzić ma kolej żelazna aż do samego Gdańska; pani D. przysięgała mi się na swoje... pinczerki, że jej przyjaciółka sprowadziła sobie rumieńce z emalii i włosy z włókna drzewa hebanowego, a dowcipna panna X. gotowa była ręczyć honorem własnym, że jej młodziutka kuzynka ma naprawdę blizko trzydziestkę. Ponieważ wszystkim tym nowinom nic a nic nie wierzę, a o żadną z nich nie pytałem, muszę przeto uważać je za słodki owoc *plotkarstwa*, czyli gadaniny bez celu i potrzeby.

Są to jednak rzeczy względnie drobne i pozostające bez ważniejszych następstw. Gorzej gdy plotka odnosi się do przedmiotów, którym lada kłamstwo i wymysł szkodzić muszą... Oto przykłady:

— Gwałtu! wszyscy kupcy na ulicy tej lub owej, to wierutne bankruty!

— Co za czasy, co za czasy! Znacie panów X, Y, Z?... Prawda, że to zacni ludzie? A dzisiaj, dzisiaj, nikomu już ufać nie można!

— Te panie... dziwna rzecz, noszą aksamity i jedwabie, gdy mężom ich nie wystarcza na płacenie komornego. Co za demoralizacya!

— Dzisiejsza młodzież, to zmateryalizowane niedogryzki człowieczeństwa. Dzisiejsze panny, to lalki czekające nabywców. Jesteśmy wszyscy zepsuci aż do szpiku kości.

Kto wie, czy takie najbardziej ogólne sądy nie bywają najszkodliwsze. Jednostki bronić się mogą, gdy ich dosięgną skutki plotek i oszczerstwa, ale społeczeństwo jest wobec nich bezsilne... W jakiejkolwiekbądź chwili dostarcza ono swoim członkom tyle sposobności do usilnej pracy i rozumnych refleksyj, że trapić je bezmyślną gadaniną to grzech, grzech ciężki. Na to przecież Pan Bóg dał ludziom pięć klepek w głowie, aby umieli odróżniać jądro najprostszej prawdy od łupiny fałszu i głupstwa, którą się łatwo udawić można. Tym wszystkim pantoflom i pantofelkom, co biegają z kąta w kąt

z nowinami i z pytaniami „Co słychać?” polecamy tę uwagę szczególniej.

— Bo i co słychać?

Słychać że wiosna już przyszła, że w polach siewy rozpoczną się lada dzień, że nad niemi skowronki dzwonią pieśni swe, głoszące iż nowe życie drgnęło w przebudzonej ziemi, że i ludzkim sercom, myślom i dłoniom przybyło więcej mocy, aby się jąć mogły pracy i trudu, których tak bardzo potrzeba. A poza tem jeśli co więcej słychać, to tylko plotka i gadulstwo — pantofle i pantofelki.

Maryusz.

ROGATA DUSZA.

POWIEŚĆ

Juliana Łętowskiego.

(Dalszy ciąg.)

Niestety, Zdziś, ciekawy, jak zwykle, zapytał w tej chwili zcicha:

— Kto to, mamusiu?

I wskazał klęczącego studenta, odwracając tym sposobem uwagę matki od oblicza pobladłej Maniutki.

Zanim jednak można było odpowiedzieć ciekawemu chłopcu, do kaplicy wsunął się cicho kapłan, wraz z kościelnym, dla pokropienia zwłok i odprawienia żałobnych egzekwij.

Klęczący u trumny pan Konrad powstał, czyniąc kapłanowi miejsce, i oczom obecnych teraz dopiero przedstawiła się w całej pełni piękność i siła tej młodzieńczej postaci.

Wysoki, smukły, ale barczysty i nieźle zbudowany, dosięgał głową najwyższych z zebranych, a piękną twarz swoję, powleczoną przed chwilą szczerym smutkiem, zwrócił teraz nagłym, energicznym ruchem wtył, ku zebranym, jakby ich wyzywał samą swoją obecnością.

Człowiek ten przywykł widocznie śmiało ludziom w oczy spoglądać i sam sobie do tego niejakie prawo przyznawał. Była to niewątpliwie jedna z tych natur, które rodzą się już z jakiemś usposobieniem do niepodległości, a życie tak im się składa, że pozwala do pewnego czasu rozwijać w sobie owe skłonności.

Stał oto teraz na oczach wszystkich, wiedząc że nań patrzą i wzajem wodząc po nich swym bystrym wzrokiem, z ciekawością i rozwagą zarazem.

A jednak w tej twarzy, prawie już męzkiej, ascetycznej, okolonej dość gęstą, choć zbyt jeszcze świeżą brodą, widniało teraz, obok wrodzonej energii, jakieś umęczenie, nadające jej wyraz chorobliwej niemal zadumy, czy melancholii. Ciemne, wypukłe oczy połyskiwały fosforycznym blaskiem, to znów naprzemian zachodziły mgłą, a znużenie przebijało się w całej postaci. Niewątpliwie młody ten człowiek przybywał zdaleka, z pośpiechem, o którym świadczyło już samo owo wejście. Co do jednego tylko nikt nie mógłby się był omylić na pierwszy rzut oka: było w tej twarzy i całej postawie poczucie siły i jakaś wielka, anormalna prawie powaga, nakazująca szacunek zarówno dla siebie samej, jak i dla jej właściciela.

Dwaj jego towarzysze zasługiwali też na uwagę. Jeden, snać urodzony paniczyk, delikatny i mimo okazałego wzrostu drobny, jak panienka, ustrojony był także w mundur studencki, który pokrywał jednak podróżny płaszcz angielski, zawieszony na ramionach. Drugi — szczupły młodzieniec, jakby chorowity, miał w żółtej, suchej twarzy swojej coś z południowca.

Każdy z nich, zosobna, mógł był zaciekawić, rzucał się bowiem w oczy i jakby prosił o dalsze domysły; ale przy towarzyszu swoim, przy bohaterze tej smutnej uroczystości, ginęli obaj i tracili całą prawie swoję charakterystykę. On ich tu przywiódł; on mógł wodzić za sobą, gdzie zechciał. Obaj pozostawali niewątpliwie pod wpływem i absolutną władzą tego przerastającego ich i wiekiem i doświadczeniem kolegi. On był tu — i wszędzie — wszystkiem; oni — mimo odrębnych swoich właściwości — niczem; na to już rady nie było i być nie mogło.

A wrażenie, jakie na obecnych sprawił ów krewny spoczywającego na marach nieboszczyka, było wogóle zgoła sympatyczne, a co więcej, rosło z każdym nowym momentem. Nikt nie mógł się omylić: z kim ma do czynienia, a to zawsze musi się ludziom podobać.

Spoglądano też na niego z pewną życzliwością, a i on, jakby domyślał się najbliższych zmarłego w tej małej garstce obecnych, patrzył na wszystkich z pewnem uczuciem, choć jeszcze i z jakąś wyzywającą miną, którą jednak niezwykła sytuacya zupełnie usprawiedliwiała. Ci bowiem najbliżsi nieboszczyka byli mu całkiem nieznani.

Dopiero gdy wzrok patrzącego padł na panią Kamillę, a zwłaszcza na blade oblicze Maniutki, buta przepadła gdzieś w jednej chwili, a miejsce jej zajęło coś w rodzaju upokorzenia, w oczach zaś poczęła się plątać łza jedna, jedyna.

Ale nie była to łza wyraźna—o nie!—zabłąkawszy się tu bowiem, cofnęła się pod powieki jeszcze prędzej, niż się zjawiła.

Pokory natomiast nikt nie mógł mu zaprzeczyć, podniesiona głowa opadła bowiem, jakby bezwładnie, na piersi, a na wargach zajaśniał bolesny uśmiech.

Byłby też może zaraz podszedł ku obu paniom, z paroma wyrazami podzięki, które widocznie już wisiały na jego wargach, gdyby czasu na to nie brakło.

Kapłan bowiem ukończył żałobną egzortę i po okadzeniu trumny, cofnął się ku wyjściu, gotów do pochodu. W skromnej kaplicy, po uroczystej ciszy, przerywanej tylko słowami kapłana, zawrzało znów życie. Służba poczęła odstawiać lichtarze, a u drzwi rozległy się ciężkie stąpania żałobników, przybywających wcelu wyniesienia trumny na oczekujący przed bramą karawan.

Chwilkę tylko jeszcze wahał się pan Konrad i naraz, zatrzymując wymownym ruchem ręki jednego z obsługi karawanowej, odwrócił się ku drzwiom, gdzie stali obaj koledzy. Nie uczynił przytem żadnego prawie ruchu, spojrzenie samo wystarczyło dla przywołania obu towarzyszów.

— Wyniesiemy!—wybiegło cichym szeptem z ust młodego człowieka.

Dopiero zebrawszy się około trumny, spostrzegli, iż zamiar był ryzykownym. Brak im było czwartego. Równocześnie jednak zgromadzeni w kącie emeryci poczęli spoglądać po sobie i jeden z nich, równy panu Konradowi wzrostem, radca Piotrowski, ruszył bez namysłu ku młodym na ochotnika.

Jeden rzut oka wystarczył im do porozumienia się wzajemnego; dobrano się w ten sposób, iż paniczyk, wraz ze swym towarzyszem, stanęli u nóg, radca Piotrowski zaś z panem Konradem ujęli trumnę od głowy. Żałobnicy pomogli im w podaniu jej na ramiona i po chwili ruszono ku bramie, a za niosącymi posunęła się w milczeniu cała gromadka zebranych.

Zdziś, mający zawsze jakąś słabość do mundurków akademickich, a widząc, iż jednemu z dźwigających trumnę plącze się około nóg, ujęty w rękę niedbale, długi płaszcz podróżny, poskoczył z własnego popędu i odebrał go z rąk niosącego. Pani Kamilla widziała ten postępek syna i pochwaliła mu wzrokiem jego usłużność.

O dźwiganiu zwłok na sam cmentarz nie mogło być mowy wobec zbyt szczupłej garstki obecnych; chodziło tylko o odniesienie ich do oczekującego przed bramą karawanu, na którym też po chwili trumna spoczęła i kondukt ruszył, posuwając się oświetloną właśnie łagodnem wrześniowem słońcem ulicą Marszałkowską.

Przed ruszeniem, pan Konrad, dziękując za usługę, skłonił się grzecznie radcy Piotrowskiemu, który, uścisnąwszy dłoń młodzieńca, cofnął się dyskretnie ku swoim towarzyszom, pełen, jak zawsze, niezamąconej powagi.

Pochód przybrał po chwili dość raźne tempo; młody kapłan szedł żwawo, karawaniarzom także dość się śpieszyło, a młodzież mimowolnie jakoś nie żałowała kroków. Zrobiło się więc niebawem tak, iż wprost za trumną postępował tylko pan Konrad, wraz ze swymi kolegami i wytrwale trzymającym się przy nich Zdzisiem, dalej następowała pewna luka, poczem dopiero sunęli niemogący nadążyć emeryci, z Łopatkiewiczem i Piotrowskim na czele, a także pani Kamilla z córką i drepcącą o krok wtyle za swą panią i panienką starą Jakóbową.

Jak zwykle w takich razach, mało w orszaku rozmawiano. Staruszkowie tylko chwalili sobie pogodę, dziękując za nią Opatrzności, umożliwiła im bowiem oddanie ostatniej posługi lubianemu koledze. Maniutka szła cicha, spokojna, prawie nawet pogodna, z jakimś błogim, boć niewesołym, uśmiechem na bladej twarzyczce, a pani Kamilla, widząc ten spokój córki, nie chciała go mącić rozmową. Jakóbowa tylko poruszała bez dźwięku wargami, szepcąc pacierze, a Zdziś, nim kondukt dostał się poza miasto, był już widocznie w najlepszej komitywie z obu kolegami pana Konrada, którzy bardzo przypadli mu do serca.

Naturalnie, dopomogła w tem usługa, oddana przez Zdzisia młodemu studentowi, a także i czupurność chłopca. Zwracając bowiem, po złożeniu trumny na karawanie, płaszcz owemu paniczykowi i usłyszawszy: „Dziękuję *panu!*” — wyciągnął czemprędzej rękę do młodego człowieka, mówiąc z zabawną powagą świeżego czwartoklasisty:

— Jestem Trzciński!

Student, mimo powagi chwili, uśmiechnął się zlekka, ale przywykły widocznie do dobrych manier, nie okazał żadnego zdziwienia i ujmując maleńką rączkę chłopczyny w swoję, przybraną w elegancką duńską rękawiczkę, przedstawił się wzajemnie:

— Marczewski.

Owo „dziękuję *panu*” i ta następna prezentacya wystarczyły, aby zapalny Zdziś był w siódmem niebie. Trzymając się też już przez całą drogę nieodłącznie swego nowego znajomego, starał się zabawiać go rozmową i z dziecięcą natrętnością zadawał mu od czasu do czasu różne pytania, wtajemniczając natomiast, choć niezapytywany, w swoje stosunki rodzinne.

Jednem z pierwszych pytań Zdzisia było: „Czemu pan Dąbrowski, jako krewny nieboszczyka, nie ma żałoby na czapce lub rękawie?” Pan Marczew-

ski odparł na to, iż dążą prosto ze wsi. Jechali powozem we trzech, od jedenastej zrana, bo to duży kawał drogi, i zaledwie zdążyli. Depesza dopiero dziś znalazła ich na wsi, gdzie bawili od tygodnia, spędziwszy już poprzednio półtora miesiąca gdzieindziej, na Podolu.

Mówił to wszystko uprzejmie i chętnie, ale z pewnym odcieniem dokładności, z jaką zwykle starsi odnoszą się do dzieci przy opowiadaniu. Dodał też iż dobrze, że choć nie potrzebowali błądzić i pytać zkąd pogrzeb? Pierwsza klepsydra przy wjeździe do miasta, około bernardynów, poinformowała ich o wszystkiem. Mogli więc tu prosto dążyć.

— A to mamusia kazała wydrukować klepsydry, a układał je pan Piotrowski — pochwalił się Zdziś.

Potem zaś począł rozpowiadać, iż mamusia jest tu także. Idzie tam, wtyle, po chodniku, z Maniutą. Mama bardzo jest dobra, siostra Maniuta także. Nieboszczyk... ach, jak mu go żal!... uczył go strzelać tego lata w ich willi. Mają bowiem także i willę. Strzelali do celu i do wróbli, które objadały czereśnie, okropnie objadały. On sam zabił dziewiętnaście wróbli przez lato, przez wakacye, choć dopiero pierwszy rok strzela...

Pan Konrad, postępujący tuż za karawanem, na krok przed rozmownym chłopcem i jego uprzejmym towarzyszem, słyszał niejedno z tych wyznań, które jednak, zdawało się, nie sprawiały na nim żadnego zgoła wrażenia. Szedł smutny, zgnębiony, a cichy jego smutek wzbierał w nim widocznie tem bardziej, im krótszą już stawała się droga ku Powązkom.

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PAMIĘTAJ.

(Do albumu.)

Choć jesień życia spłoszy sny wiośniane
I szronem krucze włosy twe przyprószy,
Niech kwiaty uczuć w młodości zrywane,
Jak dawniej świeże, kwitną w twojej duszy.

Pamiętaj o mnie, chociaż los złowrogi
W świat mię daleki rzuci, mimo chęci;
Choć może nigdy nie wrócę w te progi,
Ty mnie zachowaj nazawsze w pamięci.

Póki nie pryśnie nić mojego życia,
Będziesz, jak gwiazda pośród chmur owicia
Rozświecać niebo marzeń mych — do końca.

Czas, ani przestrzeń, prócz mogiły cienia,
Nie skryją ciebie mrokiem zapomnienia,
Boś mi jaśniejszą od promieni słońca.

M. Chluska.

ODCZYTY.

Trzy odczyty doktora medycyny Henryka Nussbauma zaledwo w bardzo pobieżny sposób tu streścimy, chroniąc czytelników „Tygodnika Mód" od powtórzenia, albowiem znaczna część zawartych w nich wiadomości znalazła już miejsce w „Hygienie" d-ra Malinowskiego.

Doktór Nussbaum mówił o „ogólnym poglądzie na budowę i mechanizm ustroju ludzkiego," będącego ostatecznie połączeniem indywiduów najpierwotniejszych bo najprostszego typu, komórek, których życie polega na przemianie materyi.

Przemianie tej służy krew, dowożąca komórkami potrzebne substancye: tlen (z narządu oddychania zapomocą krążków czerwonych) i pierwiastki pokarmowe, jak tłuszcz, cukier i białko (z narządu trawienia, zapomocą ciałek bezbarwnych), jakoteż i wywożąca z organizmu zużyte i wydzielone przez komórki substancye, jak na przykład kwas węglowy, mocz, pewne sole i t. d. Drogami krwi są naczynia krwionośne (układ tętniczy i żylny), rozgałęzione po całem ciele w coraz cieńsze kanaliki, z których najcieńsze nazywają się naczyniami włosowatemi. Motorem krążenia jest głównie serce, a pomocniczo i same naczynia krwionośne.

Wielkorządcą ustroju jest narząd nerwowy, przyjmujący wrażenia i pobudki z zewnątrz i komunikujący odpowiednie podrażnienia (odruchowo lub świadomie) mięśniom, których skurcze wywołują ruch. System nerwowy składają wychodzące ku powierzchni ciała nerwy (obwodowe) dwóch rodzajów, czuciowe i ruchowe, i ośrodki, z których głównemi są mlecz pacierzowy i mózg. Szara substancya tego ostatniego, kora, jest właśnie siedliskiem myśli.

Celem ostatniego z trzech stanowiących życie zwierzęce narządów: nerwowego, mięśniowego i kostnego, jest służyć do podpory i torowania drogi ruchom.

Warsztatami, w których wyrabia się i przerabia krew, są: wątroba, wyrabiająca z odpadków zużytych i zestarzałych krążków krwi żółć, potem śledziona, wytwarzająca ciałka bezbarwne, i wreszcie szpik, wytwarzający krążki czerwone.

Narządy oddychania i trawienia są embryologicznie wspólnego pochodzenia, są wytworem wewnętrznej warstwy zarodka, która zmienia się naprzód w rurę, aby potem drogą wypukleń i różniczkowania wytworzyć z jednej strony cały system oddechowy, a z drugiej system trawienia. Tchawica daje dwie odnogi, od których idą coraz mniejsze odnogi, noszące wspólną nazwę oskrzeli; najcieńsze kanaliki, gałązki tego drzewa, są zakończone pęcherzykami, które znajdują się już w styczności z siecią naczyń włosowatych.

Twory gruczołowe są zasadą budowy narządu trawienia. Najważniejszemi gruczołami są: ślinne, żołądek, gruczoł wątrobowy, trzustka, kiszka cienka, które wydzielają rozmaite fermenty, przerabiające wszelkie pokarmy na przydatne komórkom substancye, następnie dezynfekujące miazgę pokarmową i wreszcie uspasabiające błonę kiszkową do przepuszczania przez swe ścianki, wchłaniania pierwiastków pokarmowych. Wszystkich tych soków narząd trawienia wydziela tak wiele, że stanowią one $\frac{1}{10}$ część wagi całego ciała ludzkiego.

Mądrość natury nietylko zabezpieczyła ustrój ludzki od pierwiastków trujących, lecz i od szkodliwego zbytku pierwiastków pożytecznych. Tak na przykład wątroba zatrzymuje zbytnią część zawartego we krwi cukru, nerki zaś go wydzielają. Zresztą mądrość stworzenia przejawia się w każdym szczególe ustroju, w celowości i niepojętej oszczędności miejsca, dzięki której, w małej przestrzeni ludzkiego ciała, krew styka się z tlenem na powierzchni 800 sążni kwadratowych, a zaś proces trawienia odbywa się na powierzchni niemniej w podziw wprawiającej. Mądrość owa widoczna jest szczególnie w tem, że władza kierownicza nad większą częścią procesów życia roślinnego powierzona została nie chwiejnemu rozumowi człowieka, lecz bosko nieomylnemu instynktowi. Takim to jest ustrój ludzki, mający za cel czucie, myśl, chcenie i działanie, taką jest jedyna istota obdarzona świadomością, pragnieniem prawdy, zdolnością do współczucia i czynów miłosierdzia.

Doktór Nussbaum demonstrował przed swem audytoryum wiele rysunków i dokonał kilku doświadczeń. Tłumnie zebrana publiczność za każdym razem witała go i żegnała oklaskami.

J. N.

INTELIGENCYA MAŁP.

Zpomiędzy licznych spostrzeżeń, tyczących się władz umysłowych małp, zasługują na szczególną uwagę obserwacye I. Fischera, podane w „Revue scientifique." Fischer przez długie lata hodował u siebie w domu przedstawicieli rozmaitych gatunków tych zwierząt i umiejętnie badał ich obyczaje i zdolności i dlatego jego opisy zasługują na zupełną wiarę. Szczególnym przedmiotem jego badań był spory magot z gatunku Rhesus (Macacus Rhesus), któremu Fischer dał imię Molly.

Chcąc wyrazić jakie pragnienie, rezus wydawał wykrzyk oh! rozciągnięty w dwie sylaby: o-oh! z których druga była zawsze wymówioną głośniej niż pierwsza i to tem głośniej, im większą była jego żądza. Tak było, mówi Fischer, ilekroć mówiłem do innej osoby o jakiej potrawie, ulubionej przez Molly, na przykład o mleku, jabłku, kartoflach lub ryżu. Małpa, choć nie zwracałem się do niej, jakby podkreślała każdy z tych znanych sobie wyrazów rodzajem pochwalnego mruczenia i wymawiała swoje oh! wydłużając wargi jakby do gwizdu.

Tak samo zachowywał się mój rezus, kiedy wołałem głośno na służącego, aby przyniósł dla niej jedzenie. W tym razie zwracał natychmiast oczy na drzwi, przez które miało przybyć oczekiwane jedzenie. Czynił to zawsze o jakiejkolwiek porze dnia albo nocy, a zatem nie pod wpływem odczuwanej peryodycznie potrzeby zaspokojenia głodu, która u pewnych zwierząt może wywoływać regularne objawy zewnętrzne. Ta jego wyczekująca postawa nie zależała bynajmniej od osoby, wymawiającej nazwiska potraw. Mógłbym przytoczyć na to tysiące przykładów, zauważonych u mnie przez setki osób i aż nazbyt przekonywających, że *małpy dokładnie pochwytują związek pewnych wyrazów z odpowiedniemi im przedmiotami.*

Rezus znał imiona wszystkich zwierząt, które mieszkały w tym samym pokoju co on, lecz w innych klatkach, a bywało ich 60 do 70. Dość mi było wymówić imię jednego z tych zwierząt, wcale nie podnosząc głosu i nie patrząc na nie, a natychmiast rezus wysuwał głowę przez otwór swojej klatki

i nadawał swoim ruchom kierunek, wskazujący najwyraźniej nazwane przezemnie zwierzę.

Bał się niezmiernie wężów, a bojaźń ta rozciągała się i na wszystkie przedmioty, mające mniej lub więcej podobieństwa do nich, jak na przykład rury gazowe lub rysunki robaków o wydłużonem i giętkiem ciele. To uczucie obawy jest wspólne wszystkim gatunkom małp. Jeden z moich wychowańców, przepyszny mandryl (Cynocephalus mormon) miał zwyczaj szperania po wszystkich kątach i skrytkach; dla ograniczenia tych jego poszukiwań, które czasem sprawiały mi szkodę, kładłem pod przedmioty, o których całość szczególnie mi chodziło, skóry wężowe i środek ten okazał się najzupełniej skutecznym. Temu samemu mandrylowi pokazałem raz prospekt podróży Senywa do wysp Filipińskich, na którym znajdował się obrazek holoturyi. Zobaczywszy nagle tego morskiego korniszona, mandryl odskoczył nabok i z najeżonemi włosami, cały drżący, zaczął bić w podłogę rękami, co u wszystkich pawianów jest oznaką gniewu.

Jeszcze dobitniejszy dowód tej obawy miałem na Mollym. Przysłano mi do pielęgnowania połozowęża (Eunectes murinus), który był zapadł na zdrowiu. Kazałem go przynosić codziennie do pokoju i kąpać w ciepłej wodzie. W dziewięć dni później dość mi było zawołać: „przynieście mi węża!" a natychmiast po usłyszeniu tych wyrazów Molly całkowicie zagrzebywał się w słomę. Już oddawna wyprawiłem z domu wyleczonego węża, a jeszcze, usłyszawszy słowa fatalnego rozkazu, Molly zaczynał drżeć i to o każdej godzinie dnia albo nocy.

Ta obawa pochodzi widocznie ze zgubnych skutków jadu wężów; małpy poznały te skutki od tysiąców lat i zapewne bojaźń ich stała się już dziedziczną i bezwiedną, co wszakże podlega jeszcze sprawdzeniu.

Sam nie mogę wydać w tym przedmiocie stanowczego zdania, bo na nieszczęście nie miałem sposobności badania małp, urodzonych w niewoli. A pytania tego nie można lekko traktować, bo u człowieka obawa wężów nie jest bynajmniej wrodzoną; często można widzieć dzieci bawiące się ropuchami i wężami, których potem, tylko skutkiem bezmyślnego wychowania, lękają się i nienawidzą.

Perty utrzymuje, że psy są jedynemi zwierzętami zdolnemi do czytania usposobienia człowieka z wyrazu jego twarzy. Wcale nie jestem tego przekonania. Dość jest mieć małpy i znać ich naturę, aby się wkrótce przekonać, że *małpy umieją lepiej niż dzieci czytać na twarzy człowieka* jego uczucia.

Wyjątek stanowią tylko małpy nowego świata, które albo bardzo mało, albo wcale nie rozumieją wyrazu naszej twarzy.

Miałem małą samiczkę magota jawańskiego (Macacus cynomolgus), nadzwyczajnie łagodną i lękliwą; dość mi było odezwać się do niej podniesionym głosem, aby powstrzymać jej ruchy.

Kiedy wchodziłem do pokoju, śledziła mnie okiem, starała się czytać na mojej twarzy i zjednać sobie moję przychylność przez lekkie mruczenie; zbliżała się do mnie lub chowała się, stosownie do gry moich rysów. Kiedym się do niej uśmiechnął, wydawała krzyki radosne, wdrapywała się na moje kolana, przyciskała się do mnie, poruszając wargami i mając oczy zwrócone ku moim. Ale za pierwszem mojem skrzywieniem, za pierwszem surowszem spojrzeniem lub zmarszczeniem czoła, przerażona małpka umykała z krzykiem, szukając ocalenia w pośpiesznej ucieczce.

Podobnież odpowiadał i rezus na zewnętrzny wyraz moich uczuć, już-to milczeniem i zrezygnowaną postawą, już szalonemi skokami, rozmaicie modulowanym pomrukiem, uśmiechem lub śmiechem.

Orangutang z ogrodu we Frankfurcie rozumiał wszystkie wyrazy swojego dozorcy, który robił z nim co chciał tylko słowem, nigdy nie używając groźby.

Nie trzeba zapominać, że te wszystkie objawy pamięci i rozpoznawania skutkiem osobistej edukacyi małpy oparte są na jej własnem doświadczeniu i wcale nie zależą od wytresowania jej przez człowieka.

Małpy mają *pociąg do oczyszczania*. Dostawszy się na twoje kolana, małpa opatruje twój ubiór i oczyszcza go odgóry dodołu, wszędzie szperając palcami; żadna podszewka nie ujdzie jej baczności, a całe to badanie odbywa się z największą powagą.

Nie robię nacisku na te szczegóły; zauważę tylko, że ta mania oczyszczania może być uważaną za jeden ze środków samozachowawczych; życie w dziewiczych lasach ciągle naraża małpy na to, że w ich skórę mogą się wpijać ssące pasożyty, ciernie i t. p. ztąd wzajemna pomoc i ów przyjęty powszechnie ceremoniał wzajemnego iskania.

Molly nie znosił ludzi źle ubranych. Był on zawsze gotów do mojej obrony i rzucał się na każdego, kto mnie dotknął choćby tylko końcami swoich palców. Nie miał żadnych względów dla dzieci, możnaby powiedzieć, że brał je za du[illegible] i czasem napadał na nie, gdy go zaczepiały.

Niektóre jednak małpy chętnie bawią się z dziećmi; miałem mandryla, który bardzo lubił się bawić z dziećmi jednego z moich współrodaków.

Rezus rozumiał podrzędne względem mnie stanowisko mojego służącego. Kiedym go łajał, to i Molly wybuchał przeciwko niemu, a gniew rezusa wzrastał proporcyonalnie do tonu moich wymówek i niekiedy dochodził aż do czynnego napadu.

Ilekroć udawałem, że biję jakiego człowieka lub psa, małpa dopomagała mi w tej zmyślonej bitwie. Ale zupełnie inaczej zachowywała się, kiedy kto groził jakiej innej małpie; wtedy wściekłość jej zwracała się przeciw napastnikowi.

Współczucie nie jest też obce małpom. Bronią one zagrożone osobniki, zasłaniając je często własnem swojem ciałem. Ich litość rozciąga się aż do zwierząt innego gatunku. Molly wściekał się ze złości, widząc jak łasica zadawała dla wprawy śmiertelne ukąszenia szczurom; odciągał ją wtedy za ogonek, a nawet kąsał. Ten popęd do udzielania pomocy łatwo się tłómaczy towarzyskiem życiem małp.

W pierwszym okresie niewoli małpy *sypiają* uczepione do beleczek swojego więzienia, ale już po krótkim czasie przywykają do komfortu klatki i do snu w położeniu leżącem. Rezus umiał doskonale obwijać się kołdrą, a nawet przy pomocy zębów naciągać ją sobie na głowę. Miewał on sny częste i niespokojne. Nieraz widziałem, jak się przez sen uśmiechał, słyszałem jak wtedy wydawał słabe lecz wyraźne pomruki, wyrażające zadowolenie, żądzę, a niekiedy przestrach. W ostatnim wypadku zawsze się budził i uciekał na najwyższy drążek, rzucając na wszystkie strony wystraszone spojrzenia.

Posłuszeństwo jego było bezwarunkowe i miało tylko jeden kamień obrazy, *łakomstwo*. Jeśli zostawiłem czasem na stole jaki przysmak, w mojej obecności Molly nie tknął go nigdy, ale zaledwie tylko odwróciłem się, już w jednej chwili nie pozostawało ani śladu z przedmiotu jego pożądania. Jedynym środkiem skutecznym przeciwko tej wadzie był podstęp. Miał on na przykład zwyczaj otwierania szafy, w której wyśledził słój z miodem; położyłem przy słoju wypchanego węża Pseudopus apus i lekarstwo okazało się skutecznem.

Drugi przypadek. Lubił on wykradać mi cygara i żuć je. Wcelu odzwyczajenia go od tego nałogu, kładłem do pudełek z cygarami zasuszone węże, albo ich skóry, napełnione piaskiem. Z małpami więcej można dokazać zapomocą środków pobocznych, niż zapomocą kar.

Wszystkie małpy mają *poczucie prawa własności*. Dałem raz jednemu z moich makaków kołdrę czerwoną, a innemu niebieską. Obaj zazdrośnie pilnowali swoich, a każde naruszenie praw właściciela natychmiast wywoływało bitwę.

Mógłbym także przytoczyć liczne fakta *zazdrości i chciwości*, co do których małpy nie ustępują bynajmniej dzikim plemionom ludzkim, jak i niektórym przedstawicielom ras cywilizowanych.

Pod względem *ciekawości* małpy stoją narówni z małemi dziećmi i z dzikimi. Widok nowego przedmiotu przykuwa ich uwagę do tego stopnia, że zapominają nawet o jedzeniu. Tak samo czynią dzieci, a nawet ludzie dorośli; czyż gazety nie są wytworem naszej ciekawości?

Ilekroć odbierałem nową skrzynię zwierząt, natychmiast zgromadzało się przy niej grono gapiów; niektórzy z nich ważyli się nawet grzebać w skrzyni, w której czasami znajdowały się małe zwierzątka drapieżne. Nieraz zbyt ciekawą rękę spotykały ukąszenia, a wtedy właściciel jej wpadał we wściekłość i łomotał rękami po skrzyni.

Jeżeli nowy gość był z rodzaju małp, musiał się przedstawić dawniejszemu towarzystwu z zachowaniem wszystkich ceremonij, uświęconych zwyczajem. Ale oddając mu zwyczajowe pozdrowienia, starano się poznać stopień jego inteligencyi i odwagi przez mniej lub więcej wyraźne zaczepki. Znalezienie się przybysza stanowiło o jego przyszłości; stosownie do okoliczności, albo go odtąd lekceważono, albo otaczano szacunkiem. Zależało to głównie od jego wzrostu i od siły jego zębów.

Służalstwo względem wielkich a ucisk względem słabszych, to u małp powszechnie przyjęte prawidła. Rzecz dziwna, jak człowiek nie różni się od nich w tym względzie!

Rezus, jako najstarszy i najrozumniejszy z moich pensyonarzy, wywierał nad innemi małpami wyrafinowaną, ale nieznośną tyranią. Wkońcu byłem zmuszony podczas ich spaceru zamykać go, albo wiązać na sznurku lub na łańcuszku. Ale hultaj nauczył się wkrótce rozwiązywać sznurek i zdejmować łańcuszek.

Powiada Perty, że *małpy umieją rozwiązywać węzły, ale nie umieją ich robić*. Nie jest to wcale dowodem ich niższości! Małpy, podobnie jak inne zwierzęta, w większej części swoich czynności mają zawsze cel określony; jeśli celu tego nie pojmują, pozostawiają rzeczy w poprzednim stanie. Molly dla zdobycia miodu potrzebował otworzyć szafę, a dla wydobycia się na swobodę—rozwiązać sznurek, więc robił jedno i drugie. Ale w jakim celu zamykać za sobą drzwi, albo robić węzeł na sznurze? Czyż nie tak samo i u ludzi potrzeba przyzwyczajać dzieci do zamykania drzwi i t. d.?

(Dokończenie nastąpi.)

KRONIKA
działalności kobiecej.

— **W Wiedniu** istnieje Lyceum dla dziewcząt, (Mädchen Lyceum des Wiener Frauen-Erwerb-Vereins), założone przez stowarzyszenie kobiet, głównym celem którego jest przygotowywanie dziewcząt do życia praktycznego. A więc uczą się tam dziewczęta, oprócz gospodarstwa domowego i wiejskiego, kupiectwa i szycia bielizny, malarstwa, rysunków, stenografii i obcych języków. Skoro która objawi wybitniejszy talent w jakiejkolwiek gałęzi nauki, sztuki lub praktycznego zajęcia, zwierzchność szkolna kształci własnym kosztem nadal uczennicę, aby zpowodu braku funduszów nie minęła się z powołaniem. Tym sposobem ma uczennica zapewnioną przyszłość, a zakład zyskuje w niej gorliwą, sumienną, lecz nadewszystko wdzięczną nauczycielkę. Podobno nigdy się jeszcze nie zdarzyło, aby którakolwiek, stanąwszy silnie na nogach, zapomniała o doznanem dobrodziejstwie, przeciwnie, każda stara się o zaszczyt odpłacenia się społeczeństwu za pomoc, jakiej doznawała w potrzebie.

— **W Szkocyi** istnieje gimnazyum dla dziewcząt, znane pod nazwą „Gimnazyum Wallinowa," w którem, obok zwykłych przedmiotów gimnazyalnych, wykładają łacinę i język grecki, a to wcelu przygotowania uczennicy do przyszłych studyów na uniwersytecie.

Zaznaczyć musimy, iż oprócz profesorów łaciny i greckiego, wszystkie inne przedmioty, nawet wyższą matematykę i fizykę, wykładają kobiety, wyjątkowo się należycie z przyjętych na się obowiązków. One to wprowadziły, albo raczej skłoniły władzę pedagogiczną do pewnej innowacyi. Oto postanowiono ulżyć pracy uczennic; raz na tydzień, to jest we środę, nie mają żadnych zajęć w domu, piśmiennych ani ustnych, która to okoliczność nadzwyczaj zbawiennie wpływa na zdrowie młodej generacyi. W r. b. z dwudziestu panien, kończących kursa w gimnazyum, pięć udało się do Paryża na studya medyczne, trzy oddało się nauce filozofii, cztery adwokaturze.

— **D-r Karolina Widström**, o której już wzmiankowaliśmy, otrzymała w tych dniach nominacyę na lekarkę w gimnazyum żeńskiem w Sztokholmie. Dotychczas piastował godność tę mężczyzna. Druga jej koleżanka, panna Stierna, zajmuje takie samo stanowisko aż w New-Yorku.

— **Jubileusz** panny Botard w Paryżu. W lecznicy chorób nerwowych Salpêtrière w Paryżu, zostającej pod wyłączną opieką znakomitego neuropatologa, profesora Charcot'a, święcono w miesiącu Marcu r. b. oryginalny jubileusz. Panna Botard w r. 1841, a więc temu lat pięćdziesiąt, wstąpiła do kliniki w charakterze pomocnicy; obecnie zaś, pełniąc tam obowiązki głównej dozorczyni, po tylu latach poświęcenia się i prawdziwego zapomnienia o sobie, obchodziła pięćdziesięcioletni jubileusz swojej nieskazitelnej i szczytnej działalności.

Na uroczystość powyższą zebrało się mnóstwo przedstawicieli wojskowych i cywilnych, profesorów i lekarzy ze swojemi żonami, dyrektorów różnych zakładów i lecznic i t. d., którzy, winszując szlachetnej wytrwałości szanownej jubilatce, starali się złożyć jej hołd wdzięczności i uznania ogólnego.

Po odpowiedniej przemowie Peyrona, reprezentanta Rady dobroczynności (Asistance publique), po wystąpieniu profesora Charcot'a, Lariboisièr'a, który wystosował do panny Botard prześliczną odę, wręczono niestrudzonej kobiecie, poświęcającej całe życie dla dobra ogółu, różne podarunki, oraz uczczono honorowemi oznakami; od ministeryum spraw wewnętrznych otrzymała złoty medal; od towarzystwa dobroczynności również złoty medal; lecznica Salpêtrière zaszczyciła jubilatkę medalem bronzowym i wreszcie małżonka prof. Charcot'a ofiarowała jej duży krzyż złoty.

Zacna niewiasta postanowiła i nadal pełnić szczytne i wzniosłe stanowisko dozorczyni zakładu, jakkolwiek jest już w wieku podeszłym. Szczęść Boże jaknajdłużej szlachetnym jej zamiarom!

— **Joanna Baltz**, znakomita i głośna poetka z Westfalii, napisała w ostatnich czasach dwa poemata, które twórczyni przyniosły nieporównaną sławę i rozgłos. Publiczność westfalska z entuzyazmem rozchwytała oba utwory, z których jeden nosi tytuł „W państwie mórz" i traktuje nadzwyczaj pięknym wierszem znaczenie Ondyny i władcy wód. Utalentowana poetka dowiodła, iż rozumie przedmiot który opiewa: mówiąc o mniemanym władcy i Ondynie stara się jednocześnie wpoić w sterników... życia miłość i odwagę, dającą im dość mocy, aby się oprzeć mogli wszelkim pokusom świata, tak często złudnym, jak Rusałki i Ondyny. Drugi poemat, rzewna „Legenda o św. Elżbiecie" formalnie wywołała zachwyt pośród publiczności westfalskiej, tak iż młoda autorka, dotychczas prawie nieznana, stała się naraz najświetniejszą gwiazdą koła literackiego.

— **Emancypacya kobiet** w jakimbądź rodzaju toruje sobie drogę i pragnie przeniknąć wszędzie, aby cały świat zalać. Ostatniemi czasy wkroczyła już nawet do Nowej Zelandyi; oto niewiadomo z jakiej niewytłómaczonej przyczyny, poczęła się tam szerzyć nagle śmiertelność pośród młodych kobiet. Lekarze, po długich badaniach i dochodzeniach, skonstatowali jako główną przyczynę śmiertelności... gorset. Angielki i Francuzki, zamieszkałe w Nowej Zelandyi w znacznej liczbie, dostarczyły Zelandkom okazyą używania nieznanego im dotąd, szkodliwego dla ich zdrowia ubrania. Naśladując, a nie wiedząc jak go nosić, czynią to tak nieprawidłowo, iż coraz widoczniej tracą siły i rumieńce, a chociaż lekarze stanowczo zakazali modnym strojnisiom noszenia zgubnego gorsetu, elegantki jednak tamtejsze obstają przy swojem, powtarzając uporczywie: „Jeśli Angielki i Francuzki mogą się sznurować, możemy i my być zgrabne, zczasem zaś przywykniemy niezawodnie do potępianego przez lekarzy gorsetu."

— **W Londynie** na Grosvenor Street istnieje klub „Aleksandre," dam wyższej sfery, do którego mężczyzna nie ma pod żadnym pozorem wstępu, choćby był małżonkiem której ze stowarzyszonych. Panie również mogą wówczas tylko należeć do stowarzyszenia, jeśli były już przedstawione królowej.

Komitet liczy w gronie swojem mnóstwo młodych misses, wnoszących opłatę roczną po 50 franków. Zadaniem zakładu jest fundowanie jaknajwięcej ochron i szkółek rzemieślniczych dla dziewcząt. Każda lady, podobnie jak każda miss, regularnie cotydzień zwiedza daną instytucyą, a jeśli znajdzie jaki brak, niedokładność lnb nieporządek, donosi o tem natychmiast przewodniczce Stowarzyszenia, albo jej zastępczyni. Dziewczynki uczęszczające do onych szkółek dostają całkowite ubranie letnie i zimowe. Prócz tego posiada każda szkółka swego stałego doktora i felczera, których obowiązkiem jest odwiedzać pacyentki, gdy są obłożnie chore. W lecie prawie cały zakład naukowy i rzemieślniczy przenosi się za miasto, do jakiejś cichej, ustronnej miejscowości.

Najczęściej wszakże znajdują się instytucye rzeczone pod Londynem.

H. R.

Nagoda.

ZA CZARNE OCZY.
NOWELA.

(Dalszy ciąg.)

— Jeżeli życzliwość państwa na tem jedynie będzie ugruntowana, to podstawa jej bardzo krucha...

— Ależ mój mąż żartował... Jakże można! przecie pan tego na seryo nie bierze!... W każdym razie i za żart ja w jego imieniu przepraszam.

Pani Żaneta poparła swoje słowa długiem, słodkiem spojrzeniem i uściśnieniem ręki, także tak przedłużonem, że chcąc mu nareszcie położyć koniec, Mieczysław pochylił się i złożył pocałunek na tej pięknej rączce.

Pan Marcin spuścił oczy, bo poczuwał się do winy i obawiał karcącego spojrzenia żony; wiedział, że w takich wypadkach co się odwlecze, to nie uciecze.

— *Ma się rozumieć*, że, *aby panie*, żartowałem... Przecie ja nawet sam chciałem, gdyby pan *aby* był specyalistą...

Pani Żaneta wstała z kanapy i zaczęła się śpieszenie żegnać.

— Do widzenia, *cher ange*; mam nadzieję, że państwo odwiedzą nas jeszcze tutaj! Stoimy w Grand-Hotelu, a wyjeżdżamy jutro wieczór, ażeby odwiedzić rodziców i jeszcze na święta zdążyć do domu.

Po odejściu gości Mieczysław zapalił papierosa i stanął w otwartem oknie. Długa ulica, zabudowana w znacznej części niewielkiemi domkami, zalana była czerwonemi promieniami zachodzącego słońca. Promienie te łamały się i iskrzyły w nizkich oknach różowego domku, przeciwległego willi Mieczysława.

— Ach, jak te szyby rażą, Mieciu! oczy cię będą bolały!—zawołała Ewa, przystępując nagle do okna— na co ty się patrzysz tutaj?

— Na nic. Zamyśliłem się tylko.

— O czem? może o mnie? ja myślałam w tej chwili o tobie.

Mieczysław objął żonę i z niewymowną tkliwością popatrzył jej w oczy.

— Ciebie noszę ciągle w sercu; w głowie miałem w tej chwili co innego.

— Ale nie medycynę?... nieprawdaż, Mieciu? — szepnęła, odwzajemniając mu się spojrzeniem trochę figlarnem, trochę przekornem, — pamiętaj, za tem tęsknić nie wolno, mój panie marszałku!

Mieczysław westchnął lekko i zapalił drugiego papierosa.

* * *

Hrabina Melania, mimo swoich lat pięćdziesięciu i, jak się wyrażała, „wątłej kompleksyi," umiała

wrazie potrzeby okazać się energiczną, nawet natarczywą, to też jako „dama dobroczynności" była nieoceniona, wszystkie składki, wenty, loterye, wiodły jej się wybornie; całe życie oddała dobrym uczynkom i myśląc o bliźnich, zapominała o sobie tak dalece, że w tej nieustannej pogoni za cudzym groszem nie przyszło jej nigdy na myśl... sięgnąć do własnej kieszeni.

Zato z przyjaciół i znajomych umiała robić filantropów nieraz nawet wbrew ich woli; nie zrażała jej nigdy odmowa.

I w tej chwili także udaje, że nie widzi zachmurzonego czoła Mieczysława, i tem wyłączniej zwraca swe prośby do Ewy, im bardziej błyszczące oczy młodej kobiety zdradzają, że jej wcale przekonywać nie potrzeba.

Kwesta wielkanocna! czyż może być łatwiejszy, milszy sposób praktykowania miłosierdzia? A wszystko już tak dobrze obmyślane, kwestować mają oni oboje, pan Kornel i sama hrabina Melania, kółeczko znające się tak dobrze, *sami swoi.*

Ewa rumieni się; to wyrażenie: „sami swoi," kiedy mowa o nich i hrabinie Melanii, dosyć się jej podoba.

Ażeby pani Ewy nie narazić na umęczenie trudzeniem się po wielu piętrach, hrabina wybrała dla nich jako pole działania tę właśnie część miasta, gdzie mieszkają; ta ulica z parterowemi dworkami i kilku eleganckiemi willami będzie znacznie mniej uciążliwą od brudnego, pełnego zgiełku śródmieścia.

— Ależ w tych parterowych domkach — odzywa się Mieczysław, — mieszkają po większej części ludzie ubodzy; zamiast u nich kwestować, ich raczej wspomagaćby należało.

— Tem większą wartość będzie miał grosz przez nich uboższym jeszcze braciom oddany — odpowiada hrabina Melania z świątobliwym zapałem. — Czyż my kogo zmuszamy? czy żądamy wielkich sum? Cała instytucya dobroczynności polega właśnie na drobnych, groszowych datkach.

Hrabina Melania mówi bardzo pięknie i choć Mieczysław nie zmienił ani na włos swoich przekonań co do kwest wielkanocnych, jednak nie znajduje już argumentów. Przytem oczy Ewy, choć cichutko, ale niemniej wymownie „obrabiają" go już od kwadransa; jej się tak uśmiecha myśl chodzenia po kweście w towarzystwie męża, hrabiny i dowcipnego pana Kornela, pod ciepłemi promieniami wiosennego słońca, w tej wiązanej, ślicznej kapotce, którą jej wczoraj przysłano z magazynu. Czyż można jej odmówić tak niewinnego szczęścia?

Pan Mieczysław nie odmawia, tylko słucha podziękowań hrabiny z bardzo zasępioną twarzą.

Nazajutrz jest też milczącym, osowiałym towarzyszem w dobroczynnej pielgrzymce. Powodzenie, które ich gdzieniegdzie spotyka, pozostawia go obojętnym. Liczniejsze daleko niepowodzenia, drzwi zamykające się przed nimi, niepochlebne odmowy, nie wywołują u niego takiej wesołości, jak wśród reszty towarzystwa. Widocznie nie jest on do głębi serca przejęty ważnością i całym majestatem swojej misyi i dlatego nie umie tak wesoło przyjmować drobnych kolców, rozsianych na tej drodze poświęceń.

Oto obeszli już jednę stronę ulicy i w tej chwili wchodzą do różowego domku, stojącego naprzeciw willi Mieczysławów.

Kilkoro drzwi z sieni prowadzi do wnętrza; pan Kornel chciał do jednych zapukać, ale hrabina Melania wysuwa się naprzód i odrazu kładzie rękę na klamce; wie ona dobrze, że pukanie nie doprowadzi ich do niczego.

Drzwi, niezamknięte od środka, ustępują łatwo pod naciskiem i wszyscy wchodzą do pokoiku ciasnego, zastawionego licznemi sprzętami, którego pozór ubogi małe nadzieje rokuje kwestującym.

Pod oknem siedzi dwoje młodych ludzi; ona z głową wspartą na ręku i oczyma zapatrzonemi w niebo, wsłuchana w melodyą wierszy, które jej towarzysz czyta z otwartej książki. Są tem tak zajęci, że po chwili dopiero obce głosy zwracają ich uwagę, a i wtedy sam tylko młody człowiek powstaje i patrzy zdumiony na eleganckich gości. Ona nie zwraca nawet w ich stronę czarnych oczu, które zdają się gonić w błękitach jakieś oddalone obrazy.

Ewa poznaje ją: jest to ta sama blada dziewczyna, którą spotkali już raz na tej ulicy.

— Czego państwo sobie życzą? — zapytuje w tej chwili stara kobieta, zjawiając się w drzwiach otwartych od małej kuchenki.

— Kwesta wielkanocna... Zbieramy na ubogich i prosimy, żeby państwo zechcieli nas czemś obdarzyć — odpowiada hrabina Melania.

Dlaczego te słowa, wyrzeczone uprzejmym głosem hrabiny, zabrzmiały tak fałszywie i ostro wśród ścian ubogiej izdebki?... Nawet pan Kornel patrzy w ziemię pomięszany, a głuche milczenie, które jest jedyną odpowiedzią, zdaje się jeszcze powiększać przygnębiające wrażenie tej sceny.

Młoda dziewczyna pod oknem porusza się niespokojnie, a twarz jej matki pokrywa się zwolna bladym rumieńcem, na jaki zdobyć się jeszcze mogą te zwiędłe, pomarszczone policzki.

Nareszcie młody człowiek zbliża się do pana Kornela i, jąkając niewyraźne tłómaczenie, wsuwa parę sztuk drobnej monety w otwartą torebkę.

— Bóg zapłać! — odpowiada hrabina i kwestujące towarzystwo z dziwnym pośpiechem wynosi się z tej izdebki, gdzie przecież nie dokuczono mu szorstkiem przyjęciem.

Jeden tylko Mieczysław nie ruszył się z miejsca; wzrok jego zdaje się przykutym do czarnookiej dziewczyny, która także zwróciła twarz w jego stronę.

— Mieciu! — głos pani Ewy drży tłumioną niecierpliwością. To przedłużone, ociągające się spojrzenie męża oburza ją prawie, a jednak i ją samę pociąga blada twarz dziewczęcia niezwykłym czarem piękności, a wydaje się jej tem piękniejsza, że pociąga nietylko oczy, ale i w sercu także budzi tajemnicze uczucie sympatyi, a zarazem nieokreślonego smutku.

Oto opuściwszy cichy dom, teraz przechodzą pod oknem, przy którem siedziała, i znowu Mieczysław zwalnia kroku i zwraca głowę, jakby, pociągany magnetycznym prądem, chciał ją ujrzeć raz jeszcze, a Ewa zagryza usteczka... prawie do krwi.

Dalszy ciąg kwesty nie jest już tak wesoły i gwarny; hrabina Melania daremnie pragnie ożywić towarzyszy, panu Kornelowi zabrakło weny humorystycznej, spogląda cochwila na zegarek i napomyka, że w tych ubogich dworkach nic zapewne nie uzbierają.

Ewa chciała jaknajprędzej być w domu, znaleźć się samnasam z Mieciem i powiedzieć mu... co? sama dobrze nie wie. Tymczasem rzuca od czasu do czasu ukradkiem spojrzenie na męża, który jak na złość sam jeden tylko nie stracił humoru po wizycie w różowym domku. Przeciwnie, rozmarszczył czoło i nie zacina już tak ust, jak wprzódy. Ale choć drobne epizody dalszej wędrówki teraz mniej go niecierpliwią, jednak tembardziej wobec nich okazuje się obojętnym, postępuje milcząc, z oczyma utkwionemi w ziemię.

Ewę to jego zadumanie do rozpaczy doprowadza. Czuje ona dobrze, że w tej chwili przedmiotem jego myśli nie jest idąca tuż obok niego żona, bo na nią nie spojrzał już prawie od godziny... czyż po to namawiała go na tę kwestę i ubrała się dziś tak ładnie?

Nareszcie stają już przecie przed bramą swojej willi. Ewa przez grzeczność zaprasza towarzyszy, ażeby do niej wstąpili na herbatę. Bogu dzięki, odmówili. Wchodzi na schody z ciężkiem sercem, bo Mieczysław pierwszy raz w życiu zapomniał podać jej ramię.

Salonik ich okrągły, wysłany jak gniazdo miękkim dywanem, przypomina jej wszystkie dotychczasowe powroty ze spacerów, z których każdy zapisał się w jej pamięci radosnym uśmiechem. Mieczysław idzie wprost do fotelu i rzuca się w niego z westchnieniem:

— Oh! jakżem zmęczony!...

— A ja?! — wybiega na usta pani Ewy wykrzyknik, drżący całem jej rozdrażnieniem. I w tejże chwili zamiast owego „coś," które miała powiedzieć mężowi, najskorsze w takich wypadkach łzy rzucają się jej do oczu.

Mieczysław zelektryzowany niespodziewanym wybuchem, zrywa się z fotelu, biegnie do żony... ale cóż? niestety, budzi się w nim nietylko kochający mąż, lecz i doktór: „zmęczenie fizyczne, przetężenie nerwów i t. d." nasuwa się na myśl szukającemu środków uspakajających. Nie odgaduje, że jedna tkliwa pieszczota okazałaby się skuteczniejszą od tej szklanki zimnej wody z laurowemi kroplami, którą jej podaje, a którą Ewa odsuwa ze wzgardą.

Z urywanych słów żony niczego dorozumieć się nie może; domyśla się wprawdzie, że mają to być wymówki, ale o co?... czy o zasępioną jego minę wciągu spaceru?... czy o to, że sam wbiegł na schody i pierwszy usiadł w fotelu, nie zajmując się nią?...

W każdym razie jest to jakieś wielkie dziecińRstwo, tyle wie napewno. To też, kiedy nareszcie dała mu się pociągnąć na małą kanapkę, nastrajając minkę cierpliwej ofiary, a on mokre jej oczy ociera chusteczką, o uszy jej obija się słowo: „kaprys!" — przytłumione wprawdzie pocałunkami, ale dotkliwe, bardzo dotkliwe...

Kiedy tak, to dobrze! nie powie mu już nigdy ani słowa; niech robi co chce, niech ją nawet całkiem kochać przestanie, ona nie ujmie się już za sobą, nie!... Ale w tej chwili zaczyna z całej duszy nienawidzieć... wszystkie czarne oczy.

* * *

(Dalszy ciąg nastąpi.)

PIŚMIENNICTWO

„Spuścizna literacko-pedagogiczna po Stanisławie Jachowiczu," przez Floryana Łagowskiego (odbitka z Biblioteki Warszawskiej 1891 r.)

Najcharakterystyczniejszą cechą Jachowicza, według szanownego autora broszury, była myśl o in-

nych, myśl przyczynienia się do ich pomyślności. Rozbiera tedy pan Ł. działalność Jachowicza filantropijną, poetyczno-dydaktyczną, wreszcie czysto dydaktyczną jako nauczyciela, który usiłował upowszechnić u nas nabytki współczesnej wiedzy pedagogicznej.

Jachowicz, przybywszy do Warszawy prawie zupełnie nieznany, po upływie lat kilkunastu zajmuje wybitne stanowisko w Towarzystwie dobroczynności i tu filantropijną swą czynność z każdym potęguje rokiem. Gdyby tylko w tym jednym pracował kierunku, zasłużyłby na wdzięczność u potomności. Wszak jemu to przeważnie zawdzięcza istniejąca już wówczas męzka szkoła sierot dzisiejszy swój rozwój. Nie poprzestając na tem, pobudzał społeczeństwo nasze słowem i czynem do założenia pierwszej sali ochrony, która stała się prototypem wszystkich następnych. Sam zebrał na ten cel 12 tysięcy rubli, t. j. większą część kapitału potrzebnego na założenie tego zakładu.

To jedna strona jego działalności; drugą, niemniej ważną a równie doniosłą, stanowią jego prace literackie. Pod tym względem stoi on narówni ze wszystkimi obcymi autorami piszącymi dla dzieci. Umiał uderzyć we właściwą nutę. Wierszyki jego, bajeczki i powieści cechuje naiwna prostota i rzewność chwytająca dzieci za serce. Ideałem jego było dziecię bogobojne, pracowite, ciche, spokojne, względne, skromne i litościwe; więcej mu też chodziło o wykształcenie serca, niż rozumu i woli. Sypały się jego wierszyki, jak z rogu obfitości, a było ich przeszło 800. Podobnego zjawiska nie znajdujemy w żadnej innej literaturze. Oczywiście, koniecznem następstwem takiej obfitości była niejednakowa wartość utworów. Ztąd wynikła potrzeba dokładnego rozejrzenia się w tej bogatej spuściźnie i pewne jej uporządkowanie.

Tej mozolnej pracy podjął się pan Ł. i w zupełności z niej się wywiązał. Oddzielił wierszyki i powieści nacechowane pewną egzaltacyą, sentymentalnością, od zbyt trudnych lub zadziecinnych i bezcelowych; poza tą niewielką zresztą garstką znalazł bardzo wiele wolnych od wszelkiego zarzutu, które szczegółowo przytacza. Wszystkie je odznacza rzewny poetyczny nastrój, wszystkie cechują te nieporównane przymioty utalentowanego dziecięcego bajarza; pomimo tego nie wszystkie zarówno upowszechnione zostały. Znajdują się bowiem pomiędzy niemi i takie, które pierwszy pan Ł. wydobył że tak rzekę z ukrycia, jak np: „Boskie oko" i inne. Słusznie też mówi, iż gdyby oprócz Jachowicza nikt więcej nie pisał dla dzieci, to i tak nie moglibyśmy narzekać na brak duchowego pokarmu dla młodocianych umysłów. Ale Jachowicz niemniej pomyślnie zasilał dziatwę naszę utworami prozaicznemi, a wydając jedno dziełko po drugiem, napisał dla dzieci przeszło 16 zbiorków powiastek i kilka roczników, poczynając od „Pamiątki dla dobrych dzieci," a kończąc „Książeczką dla Stefcia." Niezależnie od tego pisze książeczki nabożne, książeczki dla rzemieślników i inne. Razem wydał około 30 dziełek, znanych większej części czytającego ogółu. I te szanowny autor broszurki wszystkie przeczytał, porównał i ocenił, wykazał ich strony dodatnie i ujemne, za tę też mozolną pracę na prawdziwe zasługuje uznanie.

Niepodobna nam w ramkach szczupłego artykułu więcej powiedzieć o pracy pana Ł. Chętnego więc czytelnika odsyłamy do samej broszurki, a upewnić go możemy, iż znajdzie w niej niejednę ważną wskazówkę, jak z pracy powyższej skorzytać można ku pożytkowi i pomyślności wzrastającego pokolenia.

Henryk Wernic.

— We fragmencie scenicznym p. t. „**Nie pierwszy**" pan Józef Łoziński rozstrzyga kwestyą, czy obowiązkiem jest dotrzymanie wiary kobiecie, którą się oderwało od ogniska domowego, od rodziny i męża, którą się pokłóciło z opinią i dla której wskutek tego przyszłość musi być koniecznie upadkiem i udręczeniem? Kwestya bardzo drażliwa, a zasadę do jej rozwiązania znaleźć trudno, chybaby się ją rozpatrywało w przypadkach poszczególnych. Namby się zdawało, że każde złamanie wiary jest łotrowstwem, nad znaczeniem i wartością którego głowy sobie nawet łamać nie godzi. Każdy szał to posiew dla nieszczęścia, ale ujmować jego następstwa w kategorye logiczne, to stracona praca. Można na takich motywach opierać setki pustych frazesów, ale to nie prowadzi do niczego. Dlatego „Nie pierwszy" jest wnaszych oczach straconą placówką roboty literackiej, która obok tego jest dosyć mierną i ani jednym momentem wydatniejszym nie zaleca się uwadze czytelnika.

— Niedawno otwarta księgarnia nakładowa M. Wołowskiego wypuściła już zpod prasy kilka zeszytów dzieła p. t. „**Wiedza**," bardzo suto wyilustrowanych rycinami objaśniającemi. W zeszytach tych jest mowa o elektryczności i elektrotechnice, a także i o wynalazkach i zastosowaniach z niemi związanych. Bardzo obszernie i wyczerpująco są tu traktowane genialne pomysły Edisona. Wykład jest jasny, ilustracye bardzo piękne i dokładne i wydaniem tem młoda księgarnia rekomenduje się zaszczytnie.

— Taż sama księgarnia rozpoczęła edycyą nowego przekładu W. Hugo „**Nędzników**." Czy przekład ten jest potrzebny wobec dwóch tłómaczeń wybornych dawniejszych? nie chcemy decydować, domyślamy się jedynie, że edycya, o której mowa ma powodzenie zapewnione, ponieważ dawniejsze są już wyczerpane.

Rz.

Z chwili bieżącej.

* **Wiosna** w tym roku z wielkim trudem na świat się wykluwa. Od kilku dni ciepło idzie w zapasy z upartym zimowym chłodem, łamie się z nim i szamoce, ale rady mu dać nie może. Jakże te dzisiejsze wiosny niepodobne do owej, o której ś. p. Drużbacka śpiewała:

„O złoty wieku w postaci dziecinnej,
„Wiosno wesoła, jak się wdzięcznie śmiejesz!"

Tegoroczna wiosna nietylko do złotego, ale do tombakowego niepodobna wieku; uśmiechnąć się biedactwo nie może ani rusz, tak szczęka od zimna ząbkami. Po inne lata miewaliśmy już o tym czasie porę zieloną co się zowie, a teraz zielenią się chyba mchy zakładane między podwójne okna na zimę, których dotąd usunąć nie mieliśmy odwagi.

I gdyby to tylko u nas! ale zewsząd, nawet z krajów daleko łaskawiej pod tym względem przez naturę uposażonych, nadchodzą wiadomości o panujących ciągle zimnach, ba! o śnieżycach często gęsto spadających.

Miałażby już tak blizką być chwila zmarznięcia, którą niektórzy złowrodzy prorocy, jako końcową katastrofę, światu naszemu przepowiadają?...

Ha! trzeba jeszcze trochę poczekać, tembardziej, że jedyna na to złe rada — cierpliwość!

* **Liczba kościołów** w Warszawie wzrasta ciągle, nie odpowiadając jednak jeszcze w zupełności potrzebie duchowej jej mieszkańców. Obecnie wykończa się zwiększony kościół Św. Aleksandra na placu Trzech Krzyży; buduje się kościół na Pradze, projektuje się kościół przy ulicy Dzielnej, nie mówiąc już o niewykończonych całkowicie, ale już oddawna otwartych dla służby Bożej kościołów WW. Świętych na placu Grzybowskim i ŚS. Piotra i Pawła na Koszykach. Obecnie powstała myśl wzniesienia jeszcze jednego kościoła na Solcu, ze względu że kościół potrynitarski nie wystarcza dla licznej ludności tej dzielnicy miasta.

Znalazł się już nawet pobożny fundator, który plac pod nową świątynię ofiaruje. Tym razem jednak uwzględniono praktyczną stronę zamiaru, której i w pobożnych przedsięwzięciach pomijać nie należy, a mianowicie z budową nowego kościoła postanowiono zaczekać, dopóki nie zostaną ostatecznie wykończone te, które się już budują. Uznano, że rozstrzelenie się składek i ofiar na kilka jednocześnie wznoszonych budowli opóźnia wykończenie wszystkich, podczas gdy jedna świątynia wykończona lepiej dogadza religijnym potrzebom wiernych, aniżeli dziesięć zaczętych, których budowa, z powodu braku funduszów, na długie lata się przewleka.

* **Nowe zeproszenie przemysłowców** naszych nadeszło z Peszt. Tamtejsze „Muzeum przemysłowe" wzywa do wzięcia udziału w wystawie surowych materyałów budowlanych, która 15 Maja ma być otwarta. W zakres jej wchodzą wapno, glina, kamień, asfalt, oraz wyroby z nich i narzędzia używane do ich przeróbki. Nie wiemy o ile przemysł nasz okaże się gotowym odpowiedzieć na to wezwanie, miło jednak pomyśleć, że Europa coraz bardziej z przemysłem tym rachować się zaczyna.

* **Konkurs na projekt centralnego dworca** kolei Warszawsko-Wiedeńskiej został przedłużony do dnia 13 Maja. Miałożby to uwzględnienie mieć źródło w chęci uwzględnienia typowej opieszałości swojskich konkurentów, którzy wpośród trzydziestu już nadesłanych prac odznaczają się nader szczupłym udziałem? Jeżeli tak jest, to względność ta dla swoich ze strony zarządu kolei zasługuje na uznanie, ale lenistwa i dojutrkostwa tych *swoich* pochwalić w żaden sposób nie można.

* **Egzamina nauczycielskie** odbywać się będą w tym roku przed 13 Maja. W Warszawie podania wnosić należy do kuratora okręgu naukowego; na prowincyi do dyrektorów gimnazyów i inspektorów progimnazyów. W progimnazyach składa się egzamina tylko na nauczycieli niższego stopnia. Do podania dołącza się metrykę urodzenia, *curriculum vitae*, świadectwa szkolne, jeżeli są, i koniecznie świadectwo konduity.

* **Wenta** na rzecz Towarzystwa opieki nad biednemi matkami i ich dziećmi, urządzona w sklepie przy ulicy Berga, jak zwykle, i w tym roku poszła nader pomyślnie. Prawie żaden z kupców warszawskich nie uchylił się od ofiary na cel tak zacny, a pokup na ofiarowane przez nich towary był tem większy, że ceny ich wcale były niewysokie. Wszystko stosować się musi do potrzeb i ducha czasu; więc też i filantropia nasza zrezygnować musiała z praktykowanego dawniej wyśrubowywania cen przedmiotów, na cele dobroczynne sprzedawanych, i przyjąć zasadę, że lepiej sprzedawać taniej, a dużo.

* **Około linii tramwajowej** do Czerniakowa roboty już się rozpoczęły. Kompetentni mają pewne wątpliwości co do anszlagu, nie dowierzają zrealizowaniu obliczanych zysków, twierdzą że trzy wagony nie są wstanie dowieść na miejsce takiej liczby osób, na jaką w projekcie rachowano; wreszcie, i to może najsłuszniej, utrzymują, że raz w rok przypadająca parodniowa w Czerniakowie uroczystość nie jest wstanie dać nawet przyzwoitych od wkładu na budowę odsetek, a cóż dopiero mówić o kosztach utrzymania kolei i o amortyzacyi kapitału wkładowego.

Uwagi te napozór wydają się usprawiedliwionemi; nie chcemy temu jednak wierzyć, przystępujący bowiem do budowy musieli pewnie skrupulatnie rzecz rozważyć i wszelakie szanse wziąć na uwagę.

G. Cz.

☞ Do dzisiejszego n-ru **Tygodnika dołącza** się **dodatek z drzeworytami.**

Дозволено Цензурою. Варшава, 10 Апрѣля 1891 г.
Redaktor i Wydawca Emil Skiwski.
Druk Emila Skiwskiego, Warszawa, Chmielna №. 26.

Dodatek.



N. 1 Paletot długi półwcięty.

O BIELIŹNIE.

W przeszłym kwartale daliśmy obszerne sprawozdanie o nowościach w dziedzinie bielizny damskiej — cały dodatek do N-ru 15 przedstawia najświeższe modele, dziś więc dodamy tylko kilka nowych szczegółów. Używane od lat kilku materyały kolorowe rozpowszechniają się coraz więcej na koszule, na części dodatkowe jak: gorsy, karczki, kołnierze i mankiety, lub jako pliski i szlaki do przybrania białej bielizny. Przy pięknym hafcie ręcznym, koronkach białych, bufkach batystowych lub modnej kratce ażurowej, kolorowe dodatki zastępuje podłożenie, przewlekanie i kokardy z wstążki. Skromniejszą bieliznę zdobią zakładki różnej szerokości, wyszycie ściegiem cierniowym przemienianym na różne sposoby i krateczki fabryczne lub szydełkowe, naśladujące ładną, ale niezmiernie pracowitą kratkę ażurową. Co do formy bielizny nie ma zmian od lat paru, tylko moda rękawów odstających na ramionach przeszła i tutaj; koszule nocne, penioary, kaftaniki, mają rękawy namarszczone w górze. W znaczeniu bielizny damskiej zmiana jest wyraźniejsza — duże litery wychodzą z użycia, cyfry lub imię przestają stanowić przeważnie ozdobę, a do praktycznego celu t. j. do odróżnienia i obliczenia wystarczają małe litery oddzielne lub małe monogramy. Nocne koszule znaczą się trochę większemi cyframi na lewej stronie gorsu.



N. 2. Płaszczyk z pelerynowem przybraniem. Patrz ryc. 20—21 i 44.



N. 3. Płaszczyk dla starszej osoby. Patrz ryc. 13 i 33—34.

Bielizna na pościel, co do formy i wielkości także, nie uległa zmianie; odpowiednio do zamożności użyte jest na nią płótno lub wyroby bawełniane. Wspaniałe przyozdobienie stanowi ręcznie wykonana kratka ażurowa, w połączeniu z haftem atłaskowym lub point d'armes. Mniej pracowite są wszywki i koronki szydełkowe lub klockowe; biały haft Madera mniej używany, wykonany kolorową bawełną lub jedwabiem zastępuje przy bieliźnie na pościel ozdoby kolorowe; ścieg krzyżykowy prawie wcale niema tu zastosowania.

Poszewki na poduszki i na pierzynki (plumeau) powinny składać garnitur; zwykle spodnia poduszka ma poszewkę gładką, a zwierzchnia ozdabia się głównie z jednego boku. Strojne poszewki mają na środku naznaczony wspaniały monogram lub oddzielne litery z koroną; haft użyty na nie powinien być tego samego rodzaju, co przyozdobienie poszewki. Zapięcie poszewek może być proste lub w zęby, to ostatnie wymaga powłoczki spodniej jedwabnej, lub z pięknej satynki czy weby kolorowej. Można tu zastosować związywanie na kokardy lub zapięcie na podłużne guziki czy pompony.

Prześcieradła pod kołdrę zdobią z jednej strony poprzecznej, z obydwóch, lub z czterech stron, albo też zakończają tylko obrębem. Najpraktyczniejsza forma jest z narożnikami zapinanemi na guziki, gdyż rogi zaszyte raz na zawsze są niedogodne do prasowania; znaki haftują się na środku strony poprzecznej, o wiele mniejsze niż na poszewkach.

Kapy przez długi czas zupełnie zarzucone, obecnie jako nowość powrócone są w użycie; robią je oddzielne na poduszki, oddzielne na pierzynki, przyczem piękne jedwabne kołdry stają się choć trochę widoczne. Pod kapy jeżeli pościel jest w powłoczkach jedwabnych, nie trzeba już wcale poszewek. Materyał na nie stanowi batyst, wiktorya, najcieńszy angielski perkal, kanwa kongresowa, dymka deseniowa i t. p. Przyozdobienie stosownie do materyału bywa wspaniałe lub skromniejsze; brzegi wokoło otaczać musi falbana lub koronka, plisowana albo marszczona. Efektownie przedstawiają się kapy, całe wyszyte w deseń, lub też w pasy crême na tle białem; najpiękniejsze są w pasy haftowane i koronkowe, podwleczone materyą jedwabną.



N. 9. Plecy do r. 29.
N. 10. Plecy do ryc. 3 w N-rze 16.



N. 11—12. Parasolik eu-tout cas.



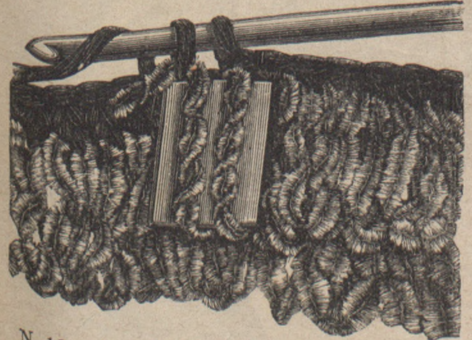
N. 4. Kapelusz okrągły z rondkiem podgarnirowanem. Patrz ryc. 21.



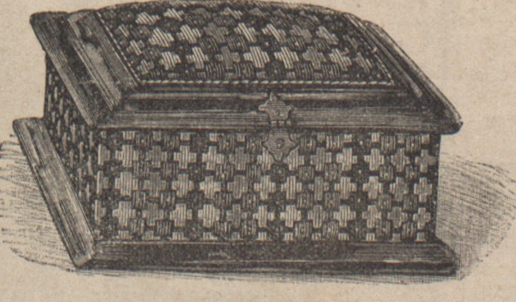
N. 5. Toczek bez denka.



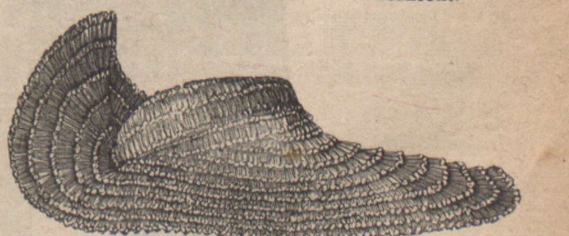
N. 6. Toczek z wysokim daszkiem.



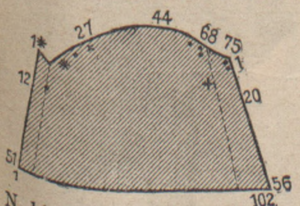
N. 16. Oszycie sznelowe robione ręcznie.



N. 13. Szkatułka na przybory do szycia. Patrz ryc. 40.



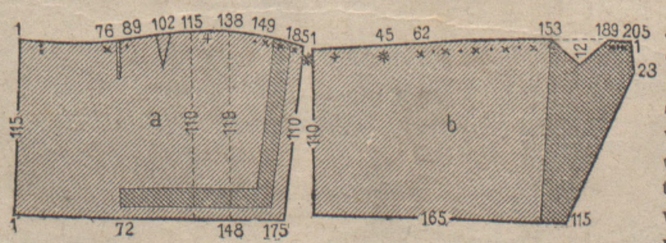
N. 8. Kapelusz ogrodowy.



N. 14. Wymiar kroju do ryciny 3 i 33.



N. 7. Kapelusz z odwiniętem rondkiem.



N. 15. Wymiar brytów do ryc. 22—23 i 45.

Opis do N-ru 16.

(Dokończenie).

N. 20—21. Poszewka w zęby zapinana.

Rycina 21 daje w naturalnej wielkości wzór haftu ponsowym jedwabiem, zdobiącego poszewkę wyciętą z jednej strony w zęby. Brzegi poszewki podłożone podwójnie wycina się w spiczaste zęby, 10 cent. głębokie, zapięte na pętelki i guziki przykryte pomponami jedwabnemi. Pompony i haft powinny być tego koloru co spodnia powłoczka jedwabna.

N. 27—29 Kapelusz i okrycie zdobne koronką. Patrz ryc. 25 w N-ze 17.

Płaski fasonik okrągłego kapelusza pokryty jest czarną koronką i przybrany girlandką z powojów i aksamitną czarną, z której można dać końce związane pod brodą. — Okrycie z jasno piaskowego sukna ozdobione jest koronką chantilly obwodzoną w maszynie ściegiem łańcuszkowym; koronkę trzeba przy górnym brzegu wyciąć podług deseniu, przyfastrygować na suknie, przyszyć na maszynie ściegiem łańcuszkowym i wyciąć sukno z pod deseniu koronki. Plecy okrycia dopasowane podług *b* na ryc. 29 zeszyte są środkiem do 49, przody (a) założone są w fałdę 3 cent. szeroką. Część pelerynowa (c na ryc. 29) łączy się szwem z plecami składając gwiazdką do gwiazdki, a z przodami od krzyżyka do krzyżyka i od 51 do 54, na ramionach zaś ma zaszewki, które trzeba dopasować podług figury. Następnie wzdłuż linii kropkowanej i podług znaczków pasując dwukropkiem do dwukropka i punktem do punktu peleryna zakłada się do spodu w głęboką fałdę, zachodzącą na przody i plecy, a brzeg górny zostający między za-

szewkami zeszywa się na ramionach z przodami *a* składając krzyżykiem do krzyżyka. Od spodu pleców przy 37 przyszywa się wstążkę wiązaną w pasie. Kołnierzyk stojący 6 cent. wysoki przykryty kołnierzem koronkowym, fałdowanym z dwóch kawałków po 19 cent. szerokich 65 cent. długich. Kokardy z wstążki rypsowej 5 i 7 1/2 cent. szerokiej.

N. 30. Bluzka z szerokim paskiem.

Wszyta w prosty pasek 8 cent. szeroki, ma podszewkę dopasowaną podług zwykłej formy dobrze leżącego stanika, liczącą z tyłu 34 cent długości. Materyał zwierzchni w około szyi przemarszczony 6 cent. szeroko, kraje się na każdą połowę 45 cent., na plecy 72 cent. szeroko. Bluzka zapięta jest na kryte haftki, pasek zaś zasznurowany z przodu. Rękawy po 30. cent. szerokie przemarszczone u ręki w nagłówek 3 cent. szeroki do 26 cent.; kołnierz wykładany 12 cent. szeroki. Naszycie z pletni złotej 1/2 cent. szerokiej.

Opis do N-ru 17.

N. 1. Paletot długi półwcięty.

Z gładkiego ciemno piaskowego szewjotu, ma kołnierz wykładany i rękawy z deseniowego materyału — moda taka utrzymuje się ciągle a osoby oszczędne uważają ją za bardzo praktyczną, ponieważ ułatwia odświeżenie ubrania lub zużytkowanie pozostałych resztek. Można także naszyć deseń sutaszem lub wyhaftować w maszynie. Klapki kieszeniowe są 17 c. długie, 7 c. szerokie; guziki rogowe dane dwoma rzędami.

N. 2, 20—21 i 44. Płaszczyk z pelerynką.

Forma zwykłego paletota bez rękawów da się tutaj zastosować, przody i plecy przykryte są gładko ściętemi wązko u dołu przodami i plecami pelerynki (patrz *a* i *b* na r. 44) której części boczne (*c*) zupełnie proste u dołu, przyszyte są gładko od rogów dolnych do gwiazdki i dwukropka, a na ramionach bufiasto namarszczone i wysoko odstające. Przody płaszczyka zapięte są do 68 c. wzdłuż na guziki, pelerynka zaś na kryte haftki. Kołnierz stojący z tyłu 7 1/2 c. wysoki, z przodu zaokrąglony. Model był z niebieskawo popielatego szewjotu w białą kratę. Kapelusz opisany przy r. 4.

N. 3, 33—34 i 14. Płaszczyk i kapotka dla starszej osoby.

Odrobiony z grubego czarnego materyału, przybrany jest szeroką frendzlą i 7 c. szerokiemi plisami z repsu jedwabnego lub torsadą jak na r. 3. Formę płaszczyka znajdą czytelniczki w przeszłorocznych N-rach, dziś dajemy tylko na r. 14 wymiar części pelerynowych. Z brzegów bocznych trzeba je podłożyć podług linii kropkowanej i przyszyć mocno wzdłuż przodów od gwiazdki do punktu a wzdłuż pleców od dwukropka do krzyżyka; na ramionach składa się fałdy podług znaczków na r. 14 a w środku przymarszcza. Na kołnierzu stojącym ułożona w kontrafałdy wstążka repsowa 5 c. szeroka. Kapotka koronkowa przybrana piórami i podpięta kwiatami lila.

N. 4. Kapelusz okrągły z rondkiem podgarnirowanem. Patrz ryc. 21.

Płaski japoński kapelusz dopełniony jest od spodu podstawą z drutu pokrytą czarnym tiulem i podpięty w półkole paskiem sztywnego tiulu rozszerzonym od dwóch do czterech cent. Wokoło płaskiej główki z ażurowej słomki dane 14 cent. szerokie rondko plisowane z czarnej koronki, zakończonej w zęby, opartej na podstawie z drucika wygiętej w ząb nad czołem. Z tyłu główki cztery krótkie strusie pióra, przypięte kokardą z aksamitki czarnej, spuszczonej w dwa końce związane pod szyją; druga kokarda dana z przodu. Rondko podpięte dyademem z róż, podług ryc. 21.

N. 5. Toczek bez denka. Patrz ryc. 19.

Pdstawę oryginalnego toczka stanowi pasek sztywnego tiulu oszyty drucikiem, 4 c. szeroki, 49 długi, zszyty w kółko i wygięty w ząb z przodu. Na nim układa się 20 c. szeroki skos aksamitu żółtawego, z boków zfałdowany, z przodu na zgięciu zęba rozsunięty w bufę. Denko zastępuje koronka słomkowa, przysłonięta koronką chantilly. Przybranie składa się z trzech pełnych róż żółtych, przedzielonych fałdowaniem z koronki, poza któremi z tyłu stoją dwa końce koronkowe, podtrzymane drucikiem (patrz ryc. 19).

N. 6—8. Fasony słomkowe.

Zarówno czarne jak kolorowe modne fasony kapeluszy plecione są ze słomki fantazyjnej, mieszanej z gładką lub tylko z gładkiej w paru kolorach. Toczek brązowy r. 6, odznaczający się oryginalnością, ma nizką wklęsłą główkę, otoczoną rondkiem, a raczej brzegiem ażurowym 3 c. szerokim; z ażurowej słomki dany rodzaj daszka z tyłu 14 c. wysokiego, podtrzymującego przybranie. Rycina 7 przedstawia mniej ekscentryczną i cieszącą się wielkiem powodzeniem formę kapelusza z odwiniętem rondkiem; szyty z czerwonawej słomki ma okrągłą głąwkę 7 c. wysoką i rondko z tyłu 5, z przodu 7 c. szerokie, zakończone dwoma rzędami czarnej słomkowej pletni. Dla młodych osób odbywających dalekie spacery dajemy fason z dużem rondem, zasłaniającem twarz od słońca, 19 c. szerokiem z przodu, z tyłu wystającem w górę poza płaską główką.

N. 11—12. Parasoliki eu-tout-cas.

Większe parasoliki do codziennego wyjścia na ulicę, używane są wysokie na 1 metr z pokryciem z gładkiej lub deseniowej materyi, z laskami w najrozmaitszej formie i przyozdobieniu. Rycina 11 przedstawia parasolik odpowiedni do lekkiej żałoby, pokryty materyą czarną jedwabną w popielate grochy, z laską czarną z oksydowanemi ozdobami. Oryginalna laska parasolika ryc. 12 składa się z czterech prętów jasnych trzcinowych, jakby związanych w jedną wiązkę; pokrycie z materyi jedwabnej pawiego koloru; parasolik ten wsunięty jest w pokrowiec jedwabny.

N. 13 i 40. Szkatułka na przybory do szycia.

Na wzór szkatułki przedstawionej na r. 13 można ozdobić wszelkiego rodzaju pudełka lub kasetki przeznaczone na papier listowy, rękawiczki, do wachlarzy, do biżuteryi lub t. p. Wystające wokoło brzegów listewki drewniane oklejone są pluszem, ścianki boczne i wierzch pokrywa wyszycie na kanwie, którego próbkę w naturalnej wielkości dajemy na ryc. 40. Tło stanowi kanwa kongresowa, do wyszycia służy filozela w kolorze blado niebieskim, brązowym i dwóch cieniach drzewnych; wszystkie cztery ściany boczne pokryć kanwą dopasowaną w jednym kawałku. Jeżeli szkatułka służy na przybory do szycia, to wieczko pokrywa się wypukło i stanowi poduszeczkę do szpilek lub do przypięcia roboty. Środek wykleja się gładko kolorowym atłasem, lub daje podkład z waty pachnącej i atłas pikuje odpowiednio do przeznaczenia pudełka.

N. 16. Oszycie sznelowe do sukien, robione szydełkiem.

Może być odrobione w każdym kolorze i w różnej szerokości, odpowiednio do czego ma służyć. Jak to widać na ryc. 16 pukielki z fryzowanej szneli przerabiane są rzędami roboty szydełkowej. Zaczyna się łańcuszkiem z o. pow. i zaraz w pierwszym rzędzie daje pentelki, zarzucając takowe dla równości na liniejkę tekturową, której szerokość jest dowolną. Każdą pentelkę przytrzymuje oczko ścisłe (patrz r. 16) zajmowane za obie nitki oczek poprzedniego rzędu; po rzędzie pentelek robi się z powrotem rząd gładki. Przy sukni ryc 23, dwa rzędy pentelek stanowiły szerokość torsadki zdobiącej brzegi stanika i plisy jedwabnej.

N. 17—19. Ubranie spacerowe.

Jak to widać z modeli przedstawionych w dzisiejszym N-rze paletociki spacerowe noszą dłuższe niż poprzednio z baskiną odcinaną, która wraca w użycie i przy stanikach (patrz ryc. 23). Rycina 17 przedstawia paletocik z jasno piaskowego sukna zakończony stębnówką wokoło brzegów i zapięty na dwa rzędy guzików. Spódnica



N. 17—19. Ubranie spacerowe (toczek, paletocik i spódnica). Patrz ryc. 5.

N. 20—21. Płaszczyk z pelerynowem przybraniem. Patrz ryc. 2 i 44. Kapelusz patrz ryc. 4.

N. 22—23. Suknia z długim stanikiem i kapelusz. Patrz ryc. 15, 16 i 45.

N. 24. Parasolik przybrany wstążką. Zamknięty patrz ryc 35.

N. 25 Okrycie przybrane koronką; opis przy r. 27—28 w N. 16.

N. 26. Paletot zapięty na dwa rzędy. Patrz ryc. 32.

N. 27—28. Ubranie małej dziewczynki.

29. Suknia w kli... przybrana torsadą. Patrz ryc. 9 i 47.

N. 30—31. Suknia fałdowana i paletot z wysokim kołnierzem. Patrz r. 46.

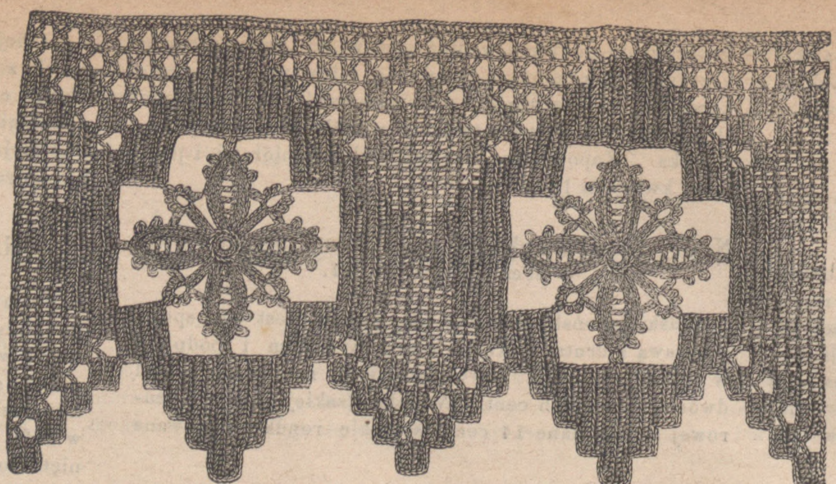
N. 32. Paletot zapipany na dwa rzędy. P. r. 25.

N. 33—34. Płaszczyk długi i kapotka dla starszej osoby. Patrz ryc. 3 i 14.

N. 35. Parasolik zawieszony na wstążce. Patrz ryc. 24.



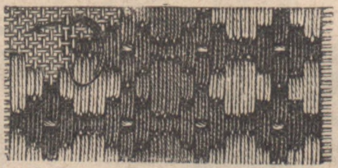
N. 37. uknia z przybraniem gorsecikowem. Patrz ryc 36.



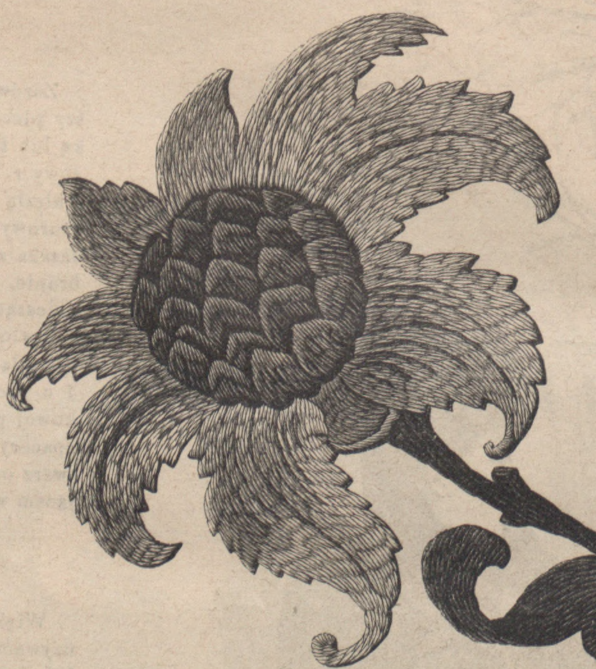
N. 41. Koronka szydełkowa do firanek, kıp, serwet i t. p. Patrz ryc 42—43.



N. 36. Suknia z przybraniem gorsecikowem. Patrz ryc. 37.



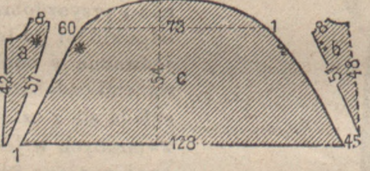
N. 40. Wyszycie na kanwie do ryc. 13.



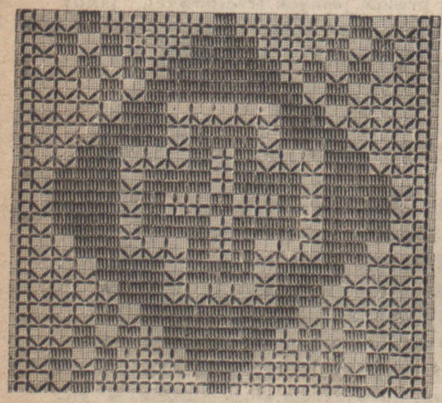

N. 39. Gałązka haftem płaskim, do aplikacyi.



N. 38. Koszyczek do rolót Patrz ryc. 39.



N. 44. Wymiar pelerynki do ryc. 3 i 33.



N. 42. Deseń na wszywkę szydełkową. Patrz ryc. 41—43.

z cienkiej wełny koloru czerwonawego (terracota) zakończona falbaną marszczoną 29 c. szeroką, nad którą dana riusza składana w poczwórne kontrafałdy; brzegi obydwóch wycięte w ząbki. Kapelusz opisany przy rycinie 5.

N. 22—23, 15 i 45. Suknia z długim stanikiem i kapelusz. Patrz ryc. 16.

Bardzo modne przybranie z oszycia w pukielki, które można przygotować własnoręcznie (podług ryc. 16) było ciemniejsze przy sukni lila wełnianej, zdobnej plisą z jasnego repsu jedwabnego. Stanik ma przody odwinięte w długie ranwersy, na kamizelce fałdowanej z materyi; odcinana baskina liczy 23 c. długości. Rycina 15 daje wymiar brytów sukni, przedstawionej z tyłu na ryc. 45; bryt a na którym linia kropkowana przy 138 oznacza środek przedni, naszywa się przybraniem podług cieniowania i po zfałdowaniu zachodzi na bryt *b* składając krzyżykiem do krzyżyka i gwiazdką do gwiazdki. Tylny bryt podszewkowany materyałem podług cieniowania zachodzi dwukropkiem do dwukropka na bryt a, zaszyty w pukiel między 153 a 189. Górne zfałdowanie oznaczają krzyżyki i kropki; z przodu dana zaszewka na prawem biodrze; rozporek przecięty przy 76. Kapelusz przedstawia z przodu ryc. 28 w N-rze 16.



N. 45. Spódnica do ryc. 23. Patrz ryc. 15.

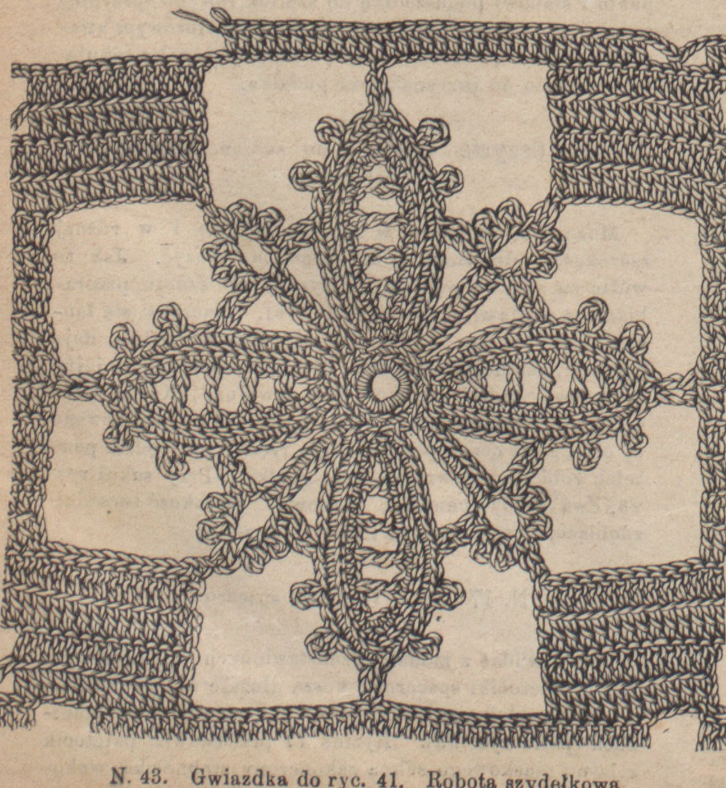


N. 46. Spódnica fałdowana. Patrz ryc. 30.

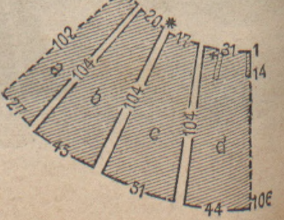
N. 24 i 35. Parasolik przybrany wstążką.

Jedwabna repsowa wstążka 3 c. szeroka, w kolorze odpowiednim do pokrycia przy otwartym parasoliku stanowi przyozdobienie laski (patrz ryc. 24), przy zamkniętym służy do zawieszenia go na ręku, podług ryc. 35. Wstążka u dołu przewleczona przez kółko metalowe przytwierdzone do laski, w górze zaś oba końce przyczepione do wstążki przewiniętej między pręcikami.

(*Dokończenie nastąpi*).



N. 43. Gwiazdka do ryc. 41. Robota szydełkowa.



N. 47. Wymiar brytów do ryc. 29.